

KLASYK WITKACY

TEATR

CHRZESTNYMI rodzicami autora „Mątwy” byli Sabala oraz... Helena Modrzejewska. Początek kontaktów Witkiewicza z teatrem był więc i wczesny i chlubny; później różnie bywało. Widz mieszczański, zasadniczy klient teatrów międzywojennego Dwudziestolecia, rechotał co prawda przy pieprznych Witkiewiczkowskich zwrotach, ale nudził go niezrozumiały dlań dialog, drażniła dziwność postaci tego teatru, w którym wiejski pachciarz dysputował o intuicji bergsonowskiej, czy o monadach Leibniza. I chociaż Boy głosił, że „publiczność, która co roku z zapalem oklaskuje Twardowskiego, Żydka i inne kukielki w szopce, przyjmuje nierrealność Witkiewiczowskiego świata, jako coś zupełnie prostego” – sztuki Witkacego zdejmowano przeważnie z afisza po dwóch, trzech przedstawieniach. Sukcesy notowano albo wtedy, gdy grano utwór mniej reprezentatywny dla tego apostoła „Czystej Formy” (właśnie „Jan Maciej Karol Wścieklica”), albo gdy inscenizatorzy lekceważyli formalne sugestie autora i wlatczali sztukę w wytarste ramki realistycznej obyczajowości. Wtedy publiczność istotnie bawiła się

dość dobrze, za to zdarzały się wypadki, że z przedstawienia własnej sztuki uciekał sam autor. (Incydent taki zdarzył się w 1928 roku, w Poznaniu podczas prapremiery „Metafizyki dwugłowego cielęcia”).

Witkacy – widz własnych sztuk miał zapewne wówczas słuszne podstawy do gniewu i irytacji. Aktorzy, albo starali się przybliżyć tekst jego sztuk do skali swych osobistych doznań, wbrew wyraźnym autorskim zleceniom („Wszyscy mają mówić nie uczuciowo!” – cytat z „Uwag o Pragmatystach” Witkiewicza), albo udawali figlarne marionetki, zniekształcając już zamierzoną deformację autorską, co „dawało w wyniku całość, obowiązującą w wyklętym przez Witkacego teatrze naśladowującym życie”. Trudno aktorów winić. Grali dla określonej publiczności, grali w określonym teatrze, wedle zadawanych manier stylistycznych, tak odmiennych od wskazań Witkacego: „Aktor jako taki nie powinien istnieć; powinien być takim samym elementem całości, jak kolor czerwony w danym obrazie, jak ton cis w danym utworze muzycznym”.

Tak było. Tak było lat temu czter-

dzieści. Obecnie przeszedł przez polskie sceny Brecht, który nauczył aktora ironicznej obcości wobec własnych uczuć; przeszedł dramat egzystencjalistów, który przyzwyczaił publiczność do nowego zestawu problemów i do słów, jakimi ze sceny mówi się o tych problemach. Dziwność Witkacego przestała dziwić, zaczęło się na jej miejsce rodzić uczucie satysfakcji, że prosił – nasz rodak, a wymyślił to przed Ionesco, przed Beckettem, nawet przed Jarrym. Witkacy poszedł w lud, który co prawda nie dysputuje nadal o monadach Leibniza, jest za to mądrzejszy od witkacowskich pachciarzy o własny pogląd na tajniki kosmosu i reguły frustracji. Witkacy wszedł również na sceny teatrów. Zadmował się tam, zamieszkał prawie na stałe.

W tym ostatnim faktcie duża jest osobista zasługa reżyserki Wandy Łaskowskiej, której Warszawa zawdzięcza trzeci już z kolei spektakl witkiewiczowski. Obecnie jest nim zestaw: „MĄTWA” oraz „JAN MACIEJ KAROL WŚCIEKLICA”, wystawiony na deskach Teatru Narodowego. Jak wystawiony? Otóż to właśnie!

Upływ lat odwraca szyki poetom.

Rzeczy dziwne stają się zrozumiałe, rzeczy dawniej pospolite – zaczynają dziś nużyć. Tekst jednoaktowej „Mątwy” odczytywany obecnie poprzez nasze zetknięcia z Mroźkiem, z groteskowym teatrem Paryża zyskuje wymiar rzeczy świeżej, a mądrej. Pragmatyzm codziennego życia, niedopasowanie formulek sztuki do ludzkich tęsknot, zawodność najłatwiejszych rozwiązań, które dyktuje nie myśl, lecz pięść – te sprawy w absurdalnym ujęciu Witkacego frapują nas nadal, a raczej: frapują nas właśnie teraz. „Jan Maciej Karol Wścieklica” zaczyna się natomiast upodabniać do rzeczy, którą na dobrą sprawę nigdy nie był: do filozoficznej satyry na Wincentego Witosa. Kiedyś podobne odczytania doprowadzały Witkiewicza do furii: „Chęć skarykaturowania Witosa! To mi nawet do głowy nie przyszło!” – pisał po prapremierowych recenzjach do jednego z przyjaciół. Dziś z tej groteski o chłopie, co między kochanką o zakonnym habitem bawi się dialektyką, została przede wszystkim intryga; dialektyka postarzała się przez te lat czterdzieści.

Powyższe refleksje dotyczą zresztą

(i to wyraźnie podkreślić wypada!) litery tekstu, nie jej scenicznej realizacji. Tutaj sprawy mają się akurat odwrotnie. „Jan Maciej Karol Wścieklica” zyskał w Teatrze Narodowym znakomity ansambl wykonawców, z których na plan pierwszy wybijają się Jan Kobuszewski (Wścieklica), Barbara Krafftówna (Wanda) oraz Wanda Łuczycza (Wścieklicowa). Obsadzony natomiast w czołowej roli „Mątwy”, w roli rozkojarzonego malarza Bezdeki – Józef Lotysz zdaje się nie bardzo rozumieć, co mówi i co gra. Reżyser kazał mu chodzić po krzesłach, więc chodzi. Reżyser kazał mu pozować na otomanie, więc tam leży. Finezyjne podawanie witkiewiczowskich aforyzmów przez aktorów pozostałych ról (Juliusz II – Mieczysław Milecki, Król Hyrkanii – Andrzej Żarnecki, Posąg Alicji – Maria Wachowiak) nie spotyka się z odzewem ze strony odbiorcy roli wiodącej. Mimo tych usterek zobaczyć spektakl warto. Chociażby, aby do wtóru witkacowym przewrotnościom, zadumać się nad przewrotnymi figlami Czasu.

WITOLD FILLER